

Irena i Jadwiga Zappe

część I z III

Sygnatura notacji: **N0163**

Data urodzenia: **Irena (5.04.1919 r.), Jadwiga (8.04.1926 r.)**

Data nagrania: **05.2008 r.**

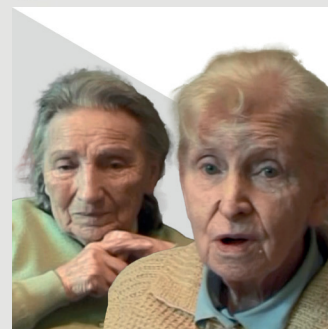
Miejsce nagrania: **dom świadka, Lwów, Ukraina**

Prowadząca/y rozmowę: **Leszek Rysak**

Czas nagrania: **cz.I: 59 min, cz.II: 59 min, cz.III: 71 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Irena Zappe: Piękna miejscowość, pięknie tam było, to było miejsce takie kuracyjne.

Jadwiga Zappe: Najcieplejszy zakątek Polski.

Irena Zappe: Ale dziś to już nie są te same Zaleszczyki. Tam zniszczenie. W ogóle to, co było piękne, wróg nas niszczył, tak jakby to wszystko było nam niedozwolone, żebyśmy mieli coś pięknego.

Jadwiga Zappe: Babcię, wiecie, wysiedlili z Zaleszczyk. I na wieś wywieźli. Im gorzej było wracać do domu.

Irena Zappe: Nie o to chodzi. Ale nawet to nasze piękne miasto Lwów, to było miasto cacko. To było miasto pielęgnowane, to było miasto piękne i nie tylko architektonicznie, ale w ogóle każdy domek był piękny, ogródki przed domami. Kiedyśmy wychodzili na spacer, tośmy się zatrzymywali przed tą siatką, która chroniła właśnie te ogródki i zachwycaliśmy się tymi kwiatami, roślinami. Kochaliśmy to miasto, a bruki lwowskie to były robione przez artystów kamieniarzy. To nie były kamienie narzucane, wzory układane na jezdni, chodniki gładzusięńkie, tak żeby nieraz jeszcze z tą młodszą siostrzyczką chodziłyśmy, to myśmy się tak bawiły, jedna zatrzymała oczy, a druga prowadziła albo jedna patrzyła na niebo i mówiła, jak wyglądają chmurki. Można było śmiało iść, gładko było. Nie było niebezpiecznie. A dziś każdy kamień rozbity, każdy kamień krzywo postawiony. Jezdnia była lekko tak, no...

Jadwiga Zappe: Normalnie. Tak jak jezdnia...

Irena Zappe: Taka była gładka i lizuchno tak, ona chodniczkom ku spadała, tak że jak był deszcz, to momentalnie wody spływały do kanału, kanał zabity. Nie spływa woda. I błota pełno było po deszczu. A jezdnia to już jest tak nierówna, że po prostu nikt by nie przeszedł, tak jak myśmy to przechodzili z zamkniętymi oczyma. To było miasto cacko.

Jadwiga Zappe: Kto ma samochód, to wie.

Irena Zappe: Drzewa, kochaliśmy każdą roślinkę lwowską i każdą rzecz, to wszystko było nam bardzo drogie. Dom naprzeciwko miał cudowną dachówkę. Dziś jest okryty zwykłą blachą.

Jadwiga Zappe: Ale pokradli. Wywieźli tę dachówkę.

Irena Zappe: To była tak cudowna dachówka, że ona była w kształcie łuski rybiej, a jak słońeczko świeciło, to one dawały kolory tęczy. Tam tylko jeszcze troszkę tej łuski zostało na wieżyczce.

Jadwiga Zappe: Wieżyczka jest, została. Nie mogli z wieżyczki ściągnąć.

Irena Zappe: Ale one są pod innym kątem, bo wieżyczka jest bardzo taka smukła i już one nie dają tych kolorów, a to wszystko, tutaj jak ktoś leżał chory, to zachwycalam się tym dachem pięknym. Kamienice nasze to nie były tuzinkowe. Każdy dom był dla siebie oryginalny, a był pałacem. Nasz zwykły dom, chodziło się do...

Jadwiga Zappe: W tej kamienicy.

Irena Zappe: bramy, cudowna brama.

Jadwiga Zappe: Kłuta z żelaza.

Irena Zappe: Kłuta z żelaza.

Jadwiga Zappe: Ręcznie.

Irena Zappe: Kwiaty przepiękne żelazne. Klamki ogromne wspaniałe, mocne.

Jadwiga Zappe: Liście były. Wyłamali, wszystko.

Irena Zappe: Każdy lokator miał klucz, bo kto przychodził późno, to musiał płacić [niezrozumiałe, 00:03:43]

Jadwiga Zappe: Wieczorem, o 10:00 zamykano klamkę.

Irena Zappe: Tak, dużo było. Ale my lokatorzy tośmy mieli każdy swój klucz.

Jadwiga Zappe: Każdy miał klucz.

Irena Zappe: Klatka schodowa niezniszczona, dziś ona jest okropnie zniszczona. I chodniczek od dołu do góry. Zakładany takimi prętami metalowymi.

Jadwiga Zappe: To oni to poobcinali, te pręty.

Irena Zappe: A wchodziło się do bramy, jasno malowane na jasnym takim tle cudowne malowidła. Piękne twarze kobiece, bukiety kwiatów i wstążki w rozmaitych kolorach. Nie wiem, może ja wszystkim się tak zachwycalam, ale mi się zdawało, że to jest wszystko piękne. Dziś to już nie chcę powiedzieć, łazienkowy kolor taki. Niech będzie. Taki kolor okropny, jaki może być... A schody poniszczone, oni tutaj te swoje meble to tak zsuwali po tych schodach, że one są poobijane, poniszczone, a sztachetki te przy schodach, powyrywane te metalowa kwiatuszki, które tam ozdabiały.

Jadwiga Zappe: Tak jak by im to przeszkadzało, te kwiatki.

Irena Zappe: Okna, które wychodziły na balkony, tam balkony są z tamtej strony od kuchni.

Jadwiga Zappe: Nie było widać balkonu, były witraże.

Irena Zappe: Witraż, witraże.

Jadwiga Zappe: W naszej kamienicy.

Irena Zappe: Wszystko zniszczyli. Dzieci powyłamywały.

Jadwiga Zappe: Ale nawet nie wiem, czy pan zauważył, jak się idzie tam do tej łazienki naszej, to tam jest, tam był kluczyk i jak tam ktoś siedział nie trzeba się było dobijać, bo tam napisane: „Zajęte”, „Wolne”. Ten napis tam jeszcze taki jest. Jak ktoś zamknie, to jest [niezrozumiałe, 00:05:33]

Jadwiga Zappe: Jeszcze został.

Irena Zappe: Wszystko było bardzo eleganckie, bardzo takie piękne, można było się każdą rzeczą... Może mnie się to wtedy tak wydawało, bo jeszcze byłam w bardzo młodym w wieku, to mi się to wszystko bardzo podobało. Dziś nie ma się co podobać. To tyle powiedziałam, że miasto było przepiękne. I tak cudownie zbudowane, że nie jest ulica, która przecina miasto w dół, tylko ulica jest zakończona jakimś pięknym widokiem, kościółek. I tam dalej znowu idzie ulica, która prowadzili do centrum.

Jadwiga Zappe: Albo piękna kamienica, albo kościół, albo jakieś...

Irena Zappe: Albo coś takiego, na czym oko mile spoczywało. I tak można było po tym mieście chodzić, spacerować i nie znudzić się. Bo ono jest też na nierównym gruncie i są ulice, i takie, i takie. Ale to wszystko zachwycało nas, którzyśmy tu mieszkali i żyliśmy w tym mieście, kochaliśmy to miasto. I te piosenki lwowskie, one nie są przesadzone. To było miasto nie tylko piękne, ale to było miasto życzliwe, dobre.

Jadwiga Zappe: Serdeczne.

Irena Zappe: Każdy człowiek był dla nas bliskim. Tu nie zdarzyło się, żeby ktoś poślizgnął się, upadł, a wszyscy przechodzili. Każdy biegł rękę podać. Trzeba było komuś pomóc, każdy był gotów pomóc i jest starsza osoba niesie ciężkie i już podchodzą, pomagają, żeby pomóc. Przez śliską ulicę przejść, każdy podał chętnie rękę komuś takiemu, komu trudno jest. Miasto życzliwe, książeczka Makuszyńskiego „Uśmiech Lwowa”, dla dzieci. Ale naprawdę, że to było miasto kochające, dobre, życzliwe. Tu można było pójść, myśmy przychodzili do tej szkoły, co myśmy były jeszcze całkiem małe dziewczynki. Prędko zadanie piszemy, idziemy na sanki. Rodzice nie obawiali się, że nam się coś może stać, a ciemno już było. Latarnie lwowskie świeciły tak, że można było pod latarnią książkę czytać. Piękne wzgórze, Wólka. Myśmy tam biegali na tej Wólce. Tam było źródelko, tam była trawa, w trawie rosły rozmaite cudowne kwiaty, drzewka owocowe rozmaite, jabłuszka rozmaite takie były, śliweczki te, które się nazywają mirabelki takie. Dużo tego było, to można było, nikt nie zabraniał. Poziomki rosły w trawie. To myśmy tam boso biegali, nikt się nie obawiał, że tam ktoś rzucił szkło rozbite. Można było całkiem bezpiecznie.

Jadwiga Zappe: Pojechaliśmy na wakacje, stale tam myśmy, codziennie byli.

Irena Zappe: Z Anią wyjeżdżaliśmy potem do Zaleszczyk tam na wakacje, to myśmy na [niezrozumiale, 00:08:42] bardzo blizutko od nas, tak przebiegało się uliczkę, potem szło się pod górkę.

Teraz to już nie jest górka, to jest jeden śmietnik okropny. To ja płakałam, bo ja chorowałam długo, potem nie mogłam chodzić i tak dalej, wszystko. A potem więcej na Wólkę nie pójde, to już nie nasza kochana Wólka. Płakałam, bo popalili te wszystkie drzewka owocowe, spalili, żeby nikt nie zbierał, bo to przestępstwo, że ktoś za darmo sobie to zbiera. Popalili, trawy tam nie ma, zniszczona, kwiatów nie widać, to myśmy z takimi bukietami kwiatów latali. Nie trzeba było kupować, zawsze Matka Boska miała kwiaty. Tam i bzy rosły, i wszystko. To było... Można było zrywać. A wstępowaliśmy do tych znajomych, którzy sami nie mogli pójść i nosiliśmy butelkę kwiatów. A jak tylko wojna się zaczęła, tak ciężko było, tyle było ludzi samotnych. Mąż poszedł na wojnę, zostawił ją samą, a ona chora, nie znałyśmy tych ludzi, ale ktoś powiedział: „Tam mieszka osoba samotna i jest chora”. Co możemy? Głód był w domu. Nieraz tylko te ziemniaczki zgotowane w łupkach na stole.

Jadwiga Zappe: Za sowietów...

Irena Zappe: To myśmy zapraszali, kto jest głodny, proszę przyjść.

Jadwiga Zappe: Ale nie tylko my zapraszaliśmy. Każdy zapraszał.

Irena Zappe: Były jeszcze naczynia, potem się wszystko sprzedawało na chleb. Piękne rzeczy, dywany, obrazy przepiękne, te zostały [niezrozumiałe, 00:10:20] Ale były obrazy, wszystko. Sprzedawało się to, bo nie było co jeść. A do znajomych: „Przychodźcie, jest jedzenie. U nas kapusta, przychodźcie. U nas pierogi dzisiaj, przychodźcie. U nas dzisiaj ziemniaczki, przychodźcie”. I tak się zapraszało wszystkich bliskich, żeby przychodzili zjeść.

Jadwiga Zappe: Stół się rozkładało.

Irena Zappe: Stół na dwie strony można było rozłożyć w takim układzie.

Jadwiga Zappe: Dotąd, że tylko można było siedzieć.

Irena Zappe: Nie było tyle krzeseł, to się dawało deskę mocną i tak się siedziało, i było zawsze jakoś... A my odwiedzałyśmy tych ludzi, których myśmy nawet nie znali, myśmy były jeszcze bardzo młode. Idziemy, jakiś bukietik kwiatów, kupiłyśmy cukierki, to dla tej pani, to dla tej, to dla tej, dla mamy, dla taty, dla tych. A to po pół cukierka, bo tam już nie wystarczyło i szłyśmy. „Gdzie wy idziecie?”

A siostra mówi: „Roznosimy witaminę R” „Gdzie?” „Tam, gdzie smutek”. Do smutnych, nie znałyśmy tych osób, ale nas puszczano, myśmy przyszły, powiedziałyśmy coś wesołego i już było całkiem inaczej. Odwiedzałyśmy takich ludzi.

Jadwiga Zappe: Przyszły święta, tośmy tych wszystkich odwiedzały. Nie było tak samo co jeść, nie było...

Irena Zappe: A dzieciaki biegały po ulicy, to my pytamy: „Głodny jesteś? Chodź, bo jest coś do jedzenia”. Zapraszałyśmy. Coś z rzeczy było. Ubierałyśmy, bo te dzieci były czasem – dzieci ulicy. Nawet nie znałyśmy nieraz rodziców, nie wiedziałyśmy, ale starałyśmy się zawsze jakoś zająć tymi, którzy potrzebowali tej pomocy. To tak było w naszej rodzinie. I przyszła wojna. Już wiemy, że wojna, ojciec wywiesił dużą mapę Polski, powiesił w takim miejscu, też był w dobrym miejscu, taką mapę to można było powiesić. I na szpileczkach chorągiewki. Zakładaliśmy te chorągiewki, płacemy, a potem już Warszawa zdobyta, „dzieci, Polska się wali”, my płacemy, jak to będzie, nie będzie Polski. I już wkraczają Rosjanie. My wracamy z kościoła, a tu co to, co to jest, łachmaniarze, koniki takie, że nogami oni włóczą po ziemi. Ten ma narzuconą jakąś [...] starą obszarpaną, mają takie czapeczki z czubkami takimi na głowach. Jeden ma taką, inny ma inną. Ten ma takie jakieś ubranie poszarpane, tu mu coś wyłazi stąd, a na nogach pantofle, że w domu by nikt nie ubrał by tego, bo wstydziłby się coś takiego nosić. Pięta goła, on jedzie na tym koniku, nogami po ziemi. Jadą, tu trzyma granat, a kogo zobaczył, to już zawsze strzelić. A ludzie uciekają, nasi dozorczy otwierają bramy: „Chodźcie, chodźcie, chodźcie!”, wszystkich zwołują z ulicy, żeby nikogo nie było na ulicy i zamykają, a my patrzymy, bo tam jest szyba w tych drzwiach, takie niby kraty, niby coś. Wyglądamy, co to takiego, co to za ludzie? Ani to jest w szyku bojowym, nie wygląda na wojsko, bo to jedzie jak banda. Po prostu każdy sobie zagląda, takie oczy straszne. Ale okno otwarte, granat rzuci, zamykają ludzie okna. Bali się. I to weszło, i szli w stronę dworca. To szło od dołu, od ulicy, przez ulicę koło kościoła Marii Magdaleny. Myśmy z kościoła z nabożeństwa [niezrozumiałe, 00:14:14] A myśmy się skryły w tej bramie. „Co to jest, co to jest?” To armia sowiecka wspianała wkraczała do naszego miasta. I pytają: „A gdzie to u was odwyszalnia?” Co takiego odwyszalnia? „Nawet odwyszalni nie widzieli ludzie, co to ma być”. Szukają i na drugi dzień już ludzie do nich podchodzą i rozmawiają, i mówią: „Chleba nie ma, tego”.

„Wszystko będzie, wszystko będzie. Fabryki pójdą, będziecie mieli o!“. Nic nie było, głód był. Ale ludzie tak sobie pomagali nawzajem, my żeśmy tego głodu jakoś tak nie odczuwaliśmy. No dobrze. Nie ma Polski, smutek w duszach dzieci. Cośmy przeżywali, no. Jako dziewczynka mała to taki wierszyček napisałam. „Przyszła znowu piękna wiosna, niosą słońce, fiołki, bzy, ale dla nas nie radosna, bo nam niesie łzy. Zabierz wiosno te śliczności, po co niesiesz fiołki, bzy, gdy nie niesiesz nam wolności, tylko smutek, łzy“. Dzieci, to były nasze dziecięce myśli. Bardzośmy to przeżyli boleśnie.

Jadwiga Zappe: A dziadzio ułożył do tego balonik i one śpiewały sobie tę swoją piosenkę.

Irena Zappe: Więc dla nas to było wszystko bardzo głęboko... I już ta wiosna, już jest to, idziemy do szkoły, a tu zaczyna się. Przychodzą do domu, myśmy nie tu mieszkali, mieszkaliśmy przy ulicy Głębokiej. Zresztą ten dom nawet widać z kuchni.

Jadwiga Zappe: Kolejowy.

Irena Zappe: Kolejowy, piękne bloki, cudowne mieszkania, komfortowy. A ojciec pracował jako urzędnik kolejowy i myśmy mieli piękne mieszkania w domu.

Jadwiga Zappe: Bardzo ładne mieszkanie mieliśmy.

Irena Zappe: I przychodzą, aresztują naszą najstarszą siostrę, która była studentką uniwersytetu.

Jadwiga Zappe: Na polonistycie była.

Irena Zappe: A dobra była, a łagodna była taka i zajmowała się młodzieżą wiejską, bo ksiądz raz powiedział w kościele: „Może ktoś ma czas, żeby zająć się młodzieżą, bo tam takie są jacejki komunistyczne i młodzież polską ciągną“. Ta młodzież głupiutka taka, po kilku klasach szkoły...

Jadwiga Zappe: To wieś Kulparków.

Irena Zappe: I zgłosiła się ta nasza siostra na wieś.

Jadwiga Zappe: Polska wieś, same polskie wsie były tu tylko.

Irena Zappe: I ona tam zajmowała się tą młodzieżą, kochali ją, bo była dobra, miła, grała pięknie na pianinie, śpiewała, uczyła dzieci tam rozmaitych rzeczy i jak tylko oni przyszli, jak tylko ona stamtąd wracała nieraz późno, to z tych Jaczejek ci komuniści rzucali za nią kamieniami. I oni pewnie podali ją jako wielką taką przestępczynię. Aresztowali naszą Marysię.

Jadwiga Zappe: W październiku, z początkiem października ją zabrali. Nas tu przyjechało na ciężarówce [niezrozumiałe, 00:17:31]

Irena Zappe: Po taką jedną młodą dziewczynę, ich tyle przyjechało. Zabrali ją tam ciężarówką. Co ona wzięła, tam, to, co można było, coś z ubrania [niezrozumiałe, 00:17:35]

Jadwiga Zappe: Jeszcze ciepło było, bo to był początek października.

Irena Zappe: My chcemy wiedzieć gdzie, nie wiemy. Mama biegła po wszystkich więzieniach, nic nie powiedziała. Chodziła do kościoła, modliła się do świętego naszego kochanego patrona Lwowa, Jana z Dukli. Myśmy tyle cudów doznawali od niego, to był nasz lwowski kochany święty. Krzyżem leżała, żeby choć dowiedzieć się, gdzie jest Marysia. I w końcu dowiedziała się. To wtedy tam przygotowywała, żeby ojciec sprzedał coś, żeby kupić kawałek chleba, masła, zrobić kanapkę i żeby tam zanieść, żeby ona miała, co się przydawało. Ojciec nie umiał sprzedawać, żaden kupiec. Ale co, Marysię aresztowali jeszcze w tamtym mieszkaniu, a ojca zwalniają z pracy i do 24 godzin ma się wyprowadzić, bo już nie jest ich pracownikiem kolejowym. A tu w tym mieszkaniu, gdzie my jesteśmy...

Jadwiga Zappe: To było szczęście, że oni tylko ich wszystkich zwolnili, nikogo nie aresztowali.

Irena Zappe: I nie zabili.

Jadwiga Zappe: I nie zabili, z dyrekcji kolejowej. A tu byli ludzie wszyscy wykształceni.

Irena Zappe: A tu mieszkał profesor gimnazjalny, profesor, bardzo mądry człowiek. On był w ogóle wszech nauk człowiek. On dużo pisał, on dużo, nie wiem, co zrobili z tą paką, która myśmy zabrali do Polski.

Jadwiga Zappe: Przecież dałaś przez kogoś.

Irena Zappe: Dałam, dałam, ja wiem, powiedziałam, żeby to zbadali. Do dziadzia pracy rozmaite pisał i tak dalej. Profesor, ale kazał się nazywać „Dziadziu”. Swoim... Właściwie on był nauczycielem jej, ale myśmy przychodzili do dziadzia w niedzielę, a dziadzio do nas. Mieszkał tu sam, żona jego umarła, dzieci jego były za granicą. Córka wyszła za Włocha, dzieci wychowała na Włochów. Syn wyszedł, ożenił się w Anglii, dzieci wychował na Anglików. Oni niedawno byli w naszym domu, oni są Anglikami. Z nami rozmawiali po polsku, ale oni urodzili się w Anglii i między sobą rozmawiali tylko po angielsku.

Jadwiga Zappe: Po angielsku, przyjechali tutaj do nas.

Irena Zappe: Chcieli zobaczyć, gdzie mieszkał ich dziadek. Bo oni byli dziećmi synami jego, dziadzia. Oni nie pisali...

Jadwiga Zappe: Syn już nie żył.

Irena Zappe: A ten dziadziu samotny mieszkał tu i co, a moja mama mówi: „Proszę przychodzić do nas na obiady, jak to co dzień do restauracji, przecież my gotujemy obiad”, tyle nas było, siedmioro dzieci. Bo ojciec, matka, babcia

zawsze na zimę przyjeżdżała. Oprócz tego, kto potrzebował pomocy, to jeszcze ten czy tamten czuł, kto tam był. I dziadziu przychodził do nas na obiady. Tak było jeszcze za czasów Polski, jeszcze nie było wojny, a my jedziemy do Zaleszczyk na wakacje, dziadziu z nami, jedziemy do Zaleszczyk. I dziadziu jedzie z nami. Tak że to był tak jak rodzony dziadziu. On nas kochał, my jego kochaliśmy. To byliśmy taką rodziną.

Jadwiga Zappe: Bardzo kochany był profesor. Bardzo dobry.

Irena Zappe: Ojciec przychodzi z pracy i mówi do mamy mojej: „Już jestem wolny, zwolnili mnie z pracy”. A my durne dzieci: „Dobrze, dobrze, tatko, pójdziemy na sanki”, to dzieciom w głowie. Nie, sanki, ale mnie wyrzucają z mieszkania. Nie, my pójdziemy, a dziadzio siedzi, mówi: „Jak to gdzie pójdziecie, do mnie”. Trzy piękne pokoje i one są tak połączone, że jak myśmy tu urządzali teatr, tam był luksusowy. Tak. Więc my sprowadzamy się do dziadzia i dziadzio przyjmuje taką bandę. Tyle ludzi.

Jadwiga Zappe: Jeszcze byli u nas uchodźcy z Warszawy i z Krakowa. Uciekali przed Niemcami.

Irena Zappe: Nasza rodzina.

Jadwiga Zappe: Ale natrafili na coś jeszcze wspanialszego. Po tym już była zima, jak wracali, to rodzice ubrali ich tak, żeby im ciepło było, żeby mogli wrócić do swoich domów. Już jak można było.

Jadwiga Zappe: I całe szczęście, że nie rejestrowali się w pierwszej kolejce, która była. Bo w pierwszej pojechali na wschód.

Irena Zappe: A tak oni jeszcze do domu wrócili. I my tutaj jesteśmy, ten pokój był dziadzia, przychodzi zima, my nie mamy czym palić, palimy tylko u dziadzia. A najmłodsza siostrzyczka, Oleńka, tam miała łóżeczko i ona spała koło pieca, a my tutaj. Minus trzy stopnie w mieszkaniu. Kwiaty poginęły piękne, piękna palma była. Mama każdemu daje do łóżka flaszkę owiniętą w ręcznik, w woreczku zawiązana. I my tak jakoś...

Jadwiga Zappe: Gorącą wodą...

Irena Zappe: myśmy mieli tak.

Jadwiga Zappe: ogrzewała nam mama...

Irena Zappe: Wiem, że Staszewi wypadła w nocy flaszką, to rano był lód. Zimno było. Tutaj stało pianino. Jak chciałam zagrać, byłam w rękawiczkach. I tak jakoś przeżyliśmy. Potem... Więc jak było coś lepszego w domu, bo był głód, to mama „dla dziadzia”. Pilnowaliśmy tego dziadzia, kochaliśmy.

Jadwiga Zappe: Starszy człowiek.

Irena Zappe: Tak. I teraz taka nędza w domu, a...

Jadwiga Zappe: Dla dziadzia i dla najmłodszych.

Irena Zappe: To już tam czasem troszeczkę tak [niezrozumiale, 00:23:11] A my tu we Lwowie głodujemy, a wieś jeszcze ma co jeść. A nasz pradziad, który był Powstańcem...

Jadwiga Zappe: Z mamy strony.

Irena Zappe: Był aresztowany, ale w zaborze rosyjskim i gnali go na wschód. Ogolili pół głowy i gnali ich na wschód. Ale to były jeszcze tereny polskie, były parafie, byli księża, a nasi księża to byli święci księża. Teraz szukać świętego księdza można i sto, ale nie ma dużo. Są rozmaici, nie chcę nic mówić. Tacy są jacy są. Ale byli... Wszyscy byli święci. To byli prawdziwi Polacy. A dziadziowi, to był spryciarz, udało mu się uciec. Gdzie? Wali na plebanię. Ksiądz go natychmiast na strych, żeby nikt jego nie widział i sam nosi mu jedzenie. Zgolił drugą połowę głowy, włosy odrosły, mówi: „Chodź, wyjeżdżamy. Nie ma nikogo, nikogo”. Siadaj, wóz jest przygotowany, a ty pod siedzenie. Schował się pod siedzenie, woła woźnicę: „Wsiadaj, jedziemy do chorego”. I jadą w stronę austriackiego zaboru. Przez las. W lesie ksiądz mówi do woźnicy: „Zapomniałem brewiarz” On leci po brewiarz, on mówi: „Wyłaź, bierz bat i jedziemy”. Nikt nie kontrolował. Przyjechali na drugą plebanię i tamten drugi ksiądz zaopiekował się tym naszym pradziadkiem. Miałymy piękną fotografię tego pradziadka. Jako student miał taką tutaj szarfę, też był, oni wszyscy byli w jakiejś tam korporacji. Siedzi przy stoliku, tak oparty, tu książka przed nim leży.

Jadwiga Zappe: A nasz brat bardzo był podobny do dziadka.

Irena Zappe: Siedzi przy pradziadku tam. A o tym pradziadku mało myśmy wiedziały, bo umarł młodo, a ojciec był jedynym synem. Ale on, jak on dostał dokumenty, tam pomogli jeszcze inni, tam byli Polacy, rodzina hrabiowska i oni tam się postarali, odwiedzali te więzienia i z tym księdzem się umówili że w takiej celi siedzi taki i taki, jak się nazywał nasz pradziadek, inaczej. W każdym razie jak się nazywał?

Jadwiga Zappe: Jadźwiński, zdaje się. Ale nie może się....

Irena Zappe: Mama to wszystko napisała.

Jadwiga Zappe: Dałam Józkowi. To nasz cioteczny brat i ja jemu to dałam. A Jasiek też powinien mieć, nasz brat, on spisał. Ja nie miałam...

Irena Zappe: To on na pewno zrobił z tego.

Jadwiga Zappe: I mówi tak: „Żebyś nie pomylił się, nazywasz się Józef Juzwa. Nie zapomnisz? Józef, tak jak Józef, a Juzwa przez zwykłe „U” będzie się pisało. Nie zapomnisz? Nie zapomnisz”. I ta rodzina hrabiów odwiedza wię-

zienie i wie, że w takiej celi, ale ani on ich nie zna, ani oni jego nie znają. I oni tak mają się rozejrzeć, „Józefie, jak się tutaj znalazłeś?”. On wystąpi i powie: „Zgubiłem dokumenty”. „Wystawimy ci dokumenty, znaleźliśmy rodziców”, dostaje dokumenty Józef i mówi ksiądz: „Uciekaj, bo mogą cię tutaj znaleźć”. I on jedzie na wieś, na tych terenach, wieś taka zabita, jak to się mówi, deskami. Nie ma głównej drogi do żadnego jakiegoś większego miasta, wieś nazywa się Leżanówka, a ludność jest ruska. Nie było Ukraińców. Nie było. Nie było tego narodu. Nie było, to wszystko wymysł naszych trzech zaborców. To Bismarck wymyślił. Jak rządzić, bo oni nam dokuczają powstaniami. A jak rządzili Rzymianie? Dziel i rządz. A co tu dzielić, Polacy są jednolitym narodem, a tam nadchodzi, jest inny obrządek. No i co, że obrządek, religia jest jedna i oni są z Polakami. Rozdzielić ich, stworzyć sztucznie nienawiść. To stworzyli, że mordowali.

Irena Zappe: Austriacy.

Jadwiga Zappe: Mordowali ludzi, którzy byli ich dobrodziejami. I on tam zamieszkał z żoną, on już był żonaty, młody był, ale żonę miał. A żona po tym tak samo przy pomocy tam przyjaciół, znajomych, dostała się tu i razem pojechali do tej Leżanówki. Ubrani w wiejskie stroje, a on był inżynierem. A on miał studia, i on tę wieś podniósł. Przeprowadził meliorację, nauczył ludzi pracować na roli, nauczył ludzi budować chaty, wozy robić, pszczelarstwem zajmować się i wszystkim, co jest na wsi potrzebne. A ona była przewodniczką, знаła zioła i leczyła ziołami, wszystko to robili bezinteresownie na tej wsi. Wieś podniosła się bardzo, a oni mówią: „Skąd ten Mazur to wszystko wie?” Skąd wie, uczył się, to wie.

Jadwiga Zappe: Tak chodził po wiejsku ubrany.

Irena Zappe: Tak, i mówię, ona miała taki pled, to w nocy nieraz ktoś do okna zastukał, trzeba przyjść do chorego, czy tam dziecko się rodzi, czy co. Ona ten pled brała i ona szła, pomagała. Opowiadali nam ci ludzie...

Jadwiga Zappe: Babcia opowiadała, która jeszcze żyła. Starzy ludzie, którzy żyli. Tak, i ten Mazur był przydatny, zrobili go wójtem, aż do śmierci był wójtem. Skąd on to wszystko wie? No, wiedział. A on swoje dzieci wysyłał na studia do miasta. Pokończyli studia, a te dzieci, tam jest jego rodzony syn, nasz dziadek, ojciec mojej matki, był inspektorem szkolnym, a mama też dostała wykształcenie, była nauczycielką. Oni też kształcili swoje dzieci.

Irena Zappe: Mama była przy nim, ale też miała uniwersytet skończony.

Jadwiga Zappe: Tak. A fotografie naszych...

Irena Zappe: A wujek, mamy brat, był naczelnikiem sądu.

Jadwiga Zappe: Tak że wszyscy otrzymali wykształcenie i byli dla ludzi dobrzy. Jak nasz dziadek umierał, to całe Zaleszczyki były w żałobie. Wszyscy przychodzili do niego, i Żydzi. I ten rabin przyszedł, i w rękę dziadzia pocałował. Przyszedł ten Ukrainiec... Nie, nie było Ukraińców, Rusini, przychodzili i wszyscy płakali. To mama mi mówiła,

że dziadziu idzie, już chłodno na dworze, listopad, i widzi dziecko żydowskie, idzie, bosc nóżki ma, bućczki, nie ma pończoszek. Przyszedł i mówi: „Przygotuj pończoszki, muszę dziecku zanieść pończoszki, bo chodzi goły”. I poszedł, sam zaniósł te pończoszki. W ogóle dbali, kochali tych ludzi, a ci ludzie kochali ich.

Irena Zappe: A dziadziu umarł w tym samym roku, kiedy Piłsudski, w 1935.

Jadwiga Zappe: Ja nie chcę snuć takich tych.

Irena Zappe: Dziadziu ma taki pogrzeb jak Piłsudski.

Jadwiga Zappe: I nasze, to tam całe miasto były te, wszystkie latarnie były założone, tak samo kina i to wszystko było tak. Kochali ich, bo oni byli dobrzy. Opiekował się tymi ludźmi, tymi nauczycielami. Wiem, że jakaś nauczycielka poparzyła się, to tam dziadziu dawał pieniądze, żeby ją leczyli, ale ona była tak poparzona, że ona zmarła. Ale ludzie widzieli tę jego dobroć. I potem... Ale część jakaś zostawała na Woli, bo oni mieli tam gospodarstwo wspaniałe. Ktoś tam zostawał. Też tam starali się, żeby oni coś się nauczyli, żeby studia... I część została. I teraz jest wojna, i ktoś z nich przyjeżdża do nas, z tej rodziny, z tej wsi. A widzą, że u nas głód, chleba nie ma. Placki się robi z fusów z kawy, i my to jemy, i sacharyna do czarnej kawy, i to jest śniadanie. Słuchajcie, dajcie te trzy najmłodsze do nas. Przecież my mamy krówki, mamy kury, mamy pszczołki, wszystko u nas jest. Tak że i zjedzą, nie będzie nam brakowało niczego. Będzie dla wszystkich. I taka wieś zabita deskami tam... I jedziemy. Karmią nas, ja tylko spódniczkę wciągałam, bo już nie... Jemy, a ja tam nie mogę wytrzymać. Ja się boję. Mi się zdaje w nocy, że ktoś chodzi, że coś stuka. Mama przyjechała odwiedzić nas. „Mamo, ja chcę do domu”. „Dziecko, w domu nie ma co jeść”. „Ja nie chcę jeść, ja tu więcej nie będę. Proszę mnie zabrać do domu, ja tutaj nie chcę być, ja tu nie będę”. Zabiera mnie mama. Już tam po tym, jeszcze przed końcem roku szkolnego, wiem, że przyjechałam jeszcze do szkoły, pozdawałam wszystko, klasy nie straciłam, nie straciłam tej klasy. To wszystko... Ale na wakacje zapraszają. Jedzie Basia i Oleńka, a ja zostaję w domu. Namawiają mnie rodzice, mówią: „Jedź dziecko, poprawi się, zjesz”. „Nie pojadę tam, nie chcę tam”. One jadą, nie ma ich, wybuch wojna, Niemcy napadają na Rosję, tacy przyjaciele byli. A ojciec mówi: „Nasze dzieci bezpieczne, tamtędy nie będzie przechodziło żadne wojsko”. A tu już chodzą słuchy, że tam były morderstwa, że tam coś się działo złego, ale nam na myśl nie przychodzi, że to... Tam było kilka polskich rodzin. Tam była rodzina, Ryż nazywali się. On był tkaczem, tam była dziewczynka w moim wieku, to myśmy się razem tam bawiły, i chłopczyk młodszy, a on tam... To była polska rodzina. Potem tam jeszcze była druga część rodziny, oni tam byli sami chłopcy, wszyscy Juzwy, pięciu chłopaków było tam. To oni też z nami i kontakt mieli, to myśmy tam chodziły, a tam jeszcze w drugiej wsi byli nasi krewni, to nas tam zapraszali, ale ja tam nie pojadę za nic w świecie. To już chodzą takie wieści, że tam coś niedobrego, ktoś przyszedł, dał wiadomość dziadziowi, że moje siostrzyczki nie żyją. A ja chciałam koniecznie lecieć na księżyc, a dziadziu mnie uczył astronomii: „Dziecko, to nie jest taka prosta sprawa, to trzeba najpierw znać niebo. Ucz się, co to za gwiazda?” Ja to musiałam na pamięć mówić. Bierze mnie za balkon i myśli, że będziemy o gwiazdach mówić. A dziadziu mówi: „Ty wiesz, twoje siostry nie żyją”. A ja tak szarpnęłam się, odwróciłam się, „Jak dziadziu może coś takiego...”. To była prawda. A ojciec jako kolejarz, pierwsze pociągi poszły, jedzie, odwozi babcię do domu, matkę swoją, do Zaleszczyk i jedzie po swoje córeczki. Przyjeżdża tam, ale pociąg dojeżdża do Skąlatu. To był kościółek. Jest na mszy świętej, rodzice byli wierzący, praktykujący. Jest na mszy

świętej, a po mszy świętej idzie ksiądz do obcego człowieka, podchodzi: „Skąd pan?” „Ze Lwowa”. „A po co pan przyjechał?” „Po moje dzieci”, „A gdzie pana dzieci?” „[niezrozumiałe, 00:34:55]” „Jak się nazywały?” „Proszę pana, niech pan tam nie jedzie, one nie żyją”. Ojciec przyjechał białutki, a był czarny. Ale jeszcze mówi: „Ja muszę tam być”. Ja mówię: „Nie, pan tam nie pojedzie, pan ma jeszcze inne dzieci, proszę wracać do domu”. A my czekamy, ojciec przyjedzie, tu już wiadomości takie chodzą. Jasiek dowiedział się o tym, to chodził jak struty. On nikomu nic nie mówi. A my wyczuwamy coś, jak ja widzę zabawkę jakąś Oleńki, na podłodze, ja to biorę, chowam jak relikwię, żeby ta zabawka nie leżała na podłodze. Przyjeżdża ojciec raniutko, mama otwiera drzwi, tato przychodzi. Myśmy jeszcze z łóżek nie powyłazili, tak usiadł na łóżku i szlocha.

Irena Zappe: Bardzo wczesna godzina, może 6:00.

Jadwiga Zappe: Jest biały, biały. My nie pytamy, my już wiemy, tak, co jest. Wszyscy płaczą. Wszyscy płaczą. Mama traci władzę w nogach i leży jakiś czas zupełnie bez ruchu, a ja mam się mamą opiekować. A ja myślę: „Ich nie ma, to po co ja mam żyć, na pewno muszę prędko umrzeć”. Prędko umrzeć. I mówią mi: „Opiekuj się mamą”, a ludzie słyszą o tej tragedii i ten przyniesie troszkę kaszy, ten jajeczko, ten przyniesie troszkę konfiturki, a ojciec mówi: „Trzymaj to w szafie pod kluczem”. Nikt by tego nie zjadł, [niezrozumiałe, 00:36:34] Będziemy jeść, co... I tylko mamie to daje. Ja mamie przygotowuję i to mnie trzyma przy życiu, że ja muszę się mamą opiekować. Mama pomalutku zaczyna wstawać i już zaczynamy wracać do życia. A ja do nikogo się nie odzywam. Ktoś do mnie mówi, to ja tylko „Mhm, mhm”. Nie mam ochoty z nikim rozmawiać. I czekam, kiedy ja umrę. To już ile jeszcze mam czekać na to. I przysniła mi się Basia, idzie tak prędko, od rana w białusieńkiej sukieneczce, jak do komunii świętej. Biegnę za nią, „Basiu, poczekaj, ja chcę pójść z tobą”. „Nie możesz pójść ze mną”. „Dlaczego?”. „Żeby pójść ze mną, trzeba umrzeć”. „Ja chcę umrzeć” „A, umieraj”. Jak ja się zaczęłam dusić, jak ja się wystraszyłam, to nie takie proste. Nie. Niech mnie... Ale sobie myślę, nie miałam radości, nie.

Irena Zappe: Dwa lata chodziła jak martwa.

Jadwiga Zappe: Tak.

Irena Zappe: Wszystko uczyła się. Nie było radości.

Jadwiga Zappe: I potem tutaj są Sowietzi, mama pyta się, czy Marysia nie idzie do więzienia, nas z mieszkania wyrzucają, my mieszkamy już u dziadzia. Mama biega i dowiaduje się, i chodzi, i modli się, i nikt nas nie pilnuje, jeść nie ma co, jemy, chodzimy po mieszkaniu, szukamy coś do jedzenia. Korek do buta znalazłam. „Jest chleb!” Nie, to korek, nie chleb... Ja mówię, tak chodzimy, do szkoły nie idziemy, bo nas nikt nie posyła, bo nam nikt nie daje nic, a my tak chodzimy, i tak o, szukamy coś. To nam coś, jak się gotowało, to myśmy jadły jakieś tam ziemniaczki w łupkach czy coś. Do szkoły nie idziemy. W końcu mama się dowiaduje, że Marysia już we Lwowie... Nie, jeszcze jest we Lwowie. Potem ją wywieźli do Charkowa.

Irena Zappe: W 1940 roku ją wywieźli.

Jadwiga Zappe: Sprzedał, żeby się dla niej coś podać do jedzenia i tak dalej. Może ja za dużo tutaj gadam.

Leszek Rysak: Słuchamy wszystko.

Irena Zappe: I już my wiemy, że Marysia jest, mama zajmuje się nami, dzieci do szkoły. I zapisuje nas do szkoły. To już nasze szkoły, ja chodziłam do Urszulanek już tam nic nie było, bo zakonnice, bo zakonnice likwidują. Szkoła jest tutaj bliźniutko, tam, gdzie było czwarte gimnazjum. I chodzimy, jest szkoła, już nie same dziewczynki. Dziewczynki, chłopczyki, wszystko razem pomieszane. Cofnęli nas też, bo polska szkoła nie była... Mogła się równać z rosyjską szkołą, z sowiecką szkołą. To oni mieli szkołę na poziomie. Chodzę do tej szkoły i uczymy się tam, wszystko dobrze, i Niemcy napadają. Przecież to tylko były dwa lata.

Irena Zappe: 1941 rok.

Jadwiga Zappe: Niemcy napadają na swoich przyjaciół i jest wojna.

Irena Zappe: Czerwiec.

Jadwiga Zappe: Czerwiec.

Irena Zappe: Mamy i taty imieniny były.

Jadwiga Zappe: A tato widzi, że tam coś się dzieje na ulicy, stanął przy oknie i ktoś wystrzelił, ale nie w ojca. Ale w suficie tam była kula i ojciec już nie stał przy oknie. Pozamykał okna i nie patrzył. Co jest, co będzie, nie wiemy i ojciec, jak tylko poszły koleje, to pojechał po siostrzyczki, ale jak się dowiedział, że ich nie ma, cały dom w żałobie, nic. A mama mówi: „Trzeba pójść do szkoły, ale Niemcy nie dają Polakom szkoły”. Żadnej polskiej szkoły. Są tylko szkoły, były takie profesjonalne, tak że można tam się uczyć na sierpców, na stolarzy.

Irena Zappe: A myśmy pracowali...

Jadwiga Zappe: Ale jest i szkoła artystyczna. I mama mnie zapisuje do szkoły artystycznej, tam, gdzie konsulat teraz jest, taki budynek. Tam było tak samo kiedyś.

Irena Zappe: Teraz jest tam szkoła artystyczna też.

Jadwiga Zappe: Mama mnie tam zapisała, ja chodzę do tej szkoły artystycznej i tam siedzę, i jesteśmy na takim kursie przygotowawczym, a stamtąd mamy profesorów gimnazjalnych, oni nas uczą historii, oni nas uczą chemii, geografii, wszystkiego nas uczą, przedmioty na wysokim poziomie. A my siedzimy i uczymy się. Uczą te dzieciaki tam. Wszyscy tam się zgłosili.

Irena Zappe: Wszystko dobrze, a ja siedzę nad tą sztalugą, mamy rysować, pokazali nam to, nie wiem, kto tam rysuje, czy kogoś, czy coś, a ja nie chcę. I czuję, że jestem słaba. Sobie myślę, jestem bardzo leniwa na pewno. Nie chcę rysować. Tak się uparłam. „Czemu ja taka leniwa?” Bo jestem głodna. Dlaczego głodna? Bo nie ma pieniędzy. Trzeba zarabiać pieniądze. Nie będę więcej do szkoły chodziła. Ja pójdę do roboty. Za pieniądze nic można było kupić. Trzeba było zamieniać.

Jadwiga Zappe: Ja pójdę do roboty. Co, jak ja pójdę do roboty, ale słyszy, że Niemcy przyjmują do takiego biura kartograficznego tych, którzy umieją coś tam, żeby narysować. I tam zdaje się taki egzamin, i oni mnie przyjęli, byłam najmłodsza w tym biurze. Ja tam pracuję, wszyscy mówią po niemiecku, a ja już zaczęłam chodzić do gimnazjum, do pierwszej. I niemieckiego mnie tam troszkę uczyli. Jak ja słyszę słowo niemieckie, to ja już wiem, jak trzeba to słowo wymówić i w jakim... A Niemcy, skąd ja tak umiem. „W szkole się nauczyłam”. A ja tak słucham i rozmawiamy z nimi po niemiecku. Między nimi był Ślązak, który rozmawiał z nami i po polsku. Ale też był w mundurze niemieckim. I my rysujemy, a Niemcy mówią: „Langsam, langsam aber siche”. Pomaleńku, nie spiesz się, ale żeby było dobrze zrobione. I my tak sobie... Pomaleńku. A śpiewamy. My śpiewamy, ale jakoś tak było, że... Wszyscy w pracy śpiewaliśmy.

Irena Zappe: A obok był pokój chłopców, to były my, dziewczynki i my śpiewają, oni zaczynają, wszyscy razem śpiewamy. Wszyscy razem śpiewamy. Tak. Niemcy mówią: „Śpiewajcie, śpiewajcie”. A my sobie patriotyczne pieśni śpiewamy.

Jadwiga Zappe: Patriotyczne, wszystkie, jakie...

Irena Zappe: Dobrze było, wszystko było dobrze. I Niemcy potem... My tam pracujemy, wszystko jest, dają nam tak mało. Ja dostaję najmniej, bo tak, oni mężczyznom dają więcej, kobietom mniej i zależnie od wieku, kto młodszy, dostaje mniej, kto starszy, dostaje więcej. A ja byłam taką dziewczką. Ale jest to, że ja mam chleba kupić troszkę do domu. I jest już, Niemcy czują, że zbliża się front tu i oni wyjeżdżają. Nas namawiają, „jedźcie z nami”. No, kto pojedzie, jak ja mam mamę, tatę? Nie pojedzie. A niektórzy wyjeżdżali. I Niemcy poszli, i znowu jest Sowiecki Sojuz, do mamy przybiega sąsiadka przez balkon, a nas mieli wywieźć. Już byliśmy na liście do wywieżenia. A oni przygotowywali wieczorem te ciężarówki, a żeby powywozić Polaków.

Jadwiga Zappe: Dlaczego do więzienia? Bo rodziny, które miały kogoś aresztowanego, wywozili do Rosji.

Irena Zappe: Tam, gdzie myśmy mieszkali, skąd aresztowali naszą siostrę, tam kilka razy przychodzili.

Jadwiga Zappe: Nas nie znaleźli tam.

Irena Zappe: Potem dowiedzieli się, że my tu mieszkamy i już byliśmy na liście, i nasza znajoma, jedna osoba...

Jadwiga Zappe: 1941 rok mieli nas wywieźć.

Irena Zappe: Pracowała tam na milicji jako sprzątaczką. To ona mogła wiedzieć, taka Polka. Oni byli mądrzy. I ona mówi: „Słuchajcie, widziałam listy. Będziecie wywiezieni, przygotujcie się, mama każdemu [niezrozumiale, 00:44:46]

Jadwiga Zappe: Oni naszej inteligencji nie dawali, zwalniali z pracy, ale nie dawali pracy żadnej.

Irena Zappe: Ojciec pracował jako stróż nocny, bo głupi był, tylko Polakiem. No, a mama każdemu pakunek, bo nie wiemy, czy nas nie rozdzielą. Tam są ciepłe rzeczy, tam coś do jedzenia. Dzieci, a tu ona przybiega wieczorem: „Dziś będzie wywóz. Pamiętajcie, przygotowują już ciężarówki”.

Jadwiga Zappe: O 2:00 w nocy przyjeżdżali zawsze.

Irena Zappe: A ja tak się bałam wywozu, że jak wywozili tam wtedy taką rodzinę, tam były dwie takie małe, ładne dziewczynki, mieszkaly.

Jadwiga Zappe: Pierwszy wywóz był w 1939, w 1940 roku. To była zima.

Irena Zappe: To była żona oficera polskiego. Ona i dwoje małych dzieci. Jak oni wywozili ją i te dzieci, słyszałam ten płacz, jej i tych dzieciaków. Boże, jak mi żal było strasznie. I modli się, żeby nas nie wywieźli. A dużo się modli, całe „Zdrowaś Mario” codziennie, codziennie. Mówi: „Nas nie wywiozq”. „Dlaczego?” „Bo ja się modlę”. I tu już ciężarówki przygotowują, wszystko spakowane, wszystkie zabawki, wszystkie lalki, wszystkie książeczki, wszystko. „Ja nie pakuję. Ty się spakowałaś? Nie, bo nas nie wywiozq?”. „Dlaczego?” „Bo ja się modlę”. A w nocy słyszymy „Pi bip, pi bip, pi bip, bum”, coś strzela, ale nie wiemy co. No, i przylatuje tutaj sąsiadka. Ona miała dwoje małych dzieci i do mojej mamy.

Jadwiga Zappe: Z kuchni przez balkon na strych takie coś prowadzi.

Irena Zappe: I mówi do mojej mamy... A jej mąż był w wojsku sowieckim, ale jak tutaj byli Niemcy, to ona nic z nim żadnego kontaktu nie miała. I mówi: „Polaki idq”, bo ona wiedziała, że to Polska była. Oni mnie zabiją”, mama mówi: „Polak nikogo nie zabije” Ja nie mogę jechać, bo dziecko jest chore, takie jeszcze niemowlę jest, najstarsze, chłopczyk, miał cztery latka. „Nie zabiją mnie?” „Nie zabiją”. „To ja nie wyjeżdżam”. „Albo idziesz, albo cię zabijemy”. „Zabijajcie, bo ja nie pojadę, dziecko...” i ją zostawili. Ona została. To była przez cały okres niemieckiej okupacji. Nikt jej nie ruszył. I przyszli Niemcy. Przyszli Niemcy, zupełnie inny system, szkół nie ma, jest głód okropny, bo już tak też był głód, jak byli Sowieci. Przecież nie można było nic kupić. Jak coś sprzedawali, to nas wszystkich budzili, bo cukier dają po pół kilo na osobę. Ojciec zajął kolejkę, my wszyscy stał, stał, stał... Przed ojcem się ustawiali, żeby pół kilo cukru dostać. Chleb dawali czy coś. To tak się żyło, że nie było...

Jadwiga Zappe: W ogonku, bo nie chcieli, żebyśmy stały.

Irena Zappe: Nocą już szedł, zajmował kolejkę. No, dobrze, i są Niemcy. I nic nie ma. Są kartki, chleb na kartki,

chleb taki jak trociny sypią się z tego chleba, ale jest i to jemy, na każdą osobę taki mały kawałeczek na dzień, taki kawałeczek.

Jadwiga Zappe: Kilogram chleba na siedem dni.

Irena Zappe: Mama nieraz nie może zasnąć, bo głodna...

Jadwiga Zappe: To się dzieliło takie kawałeczki na siedem, żeby było...

Irena Zappe: Dziadzio dzielił. A mama nie śpi, a dziadzio mówi: „Czego pani nie śpi?” „Bo głodna jestem”. On ze swojego oddziela mamie kawałeczek chleba, żeby zjadła, żeby mogła spać. A mama jeszcze ze swojego nam dawała, to też pewnie nic by nie zjadła, jak należy. I już... I tak my przeżyliśmy, i już Niemcy odchodzą, i znowu przychodzą Sowieci. Przychodzą, tak, a ta Rosjanka doczekała się, że ten mąż wrócił, a ten mały Gieniu tak się do mnie przywiązał, on był Henryk, ale jego wołali Gieniu. On biegał za mną, cały czas był... Jak tu przychodzili nam składać te kondolencje, ja nie wytrzymywałam. Mojej siostry [niezrozumiałe, 00:48:48] oni mnie obejmują, całują, a ja tak, no, nie wytrzymuję tego. Po co mnie wasze całowanie? Jak ja słyszę, że ktoś idzie nas całować, to ja przez balkon do Klaudii tam. Siadam na podłodze, Gieniu buduje domy, ona siedzi z tym chorym dzieckiem sobie tam dalej, a Gieniu buduje domy, po co, żeby bombardować, po to są domy. I on za chwilę bombarduje to wszystko. A ja siedzę i buduję mu dom, on bombarduje. Nic nie mówi, nic nie mówi. On potem biegnie za mną, chce, żebym się z nim bawiła, a ja... I to dziecko tak się przywiązało, że jak ono przychodziło, mnie nie było, powiedzieli, że ja w kościele, to ryczał w domu, żeby jego do kościoła zaprowadzić, bo on musi się ze mną spotkać. I jego prowadzili do cerkwi. Mnie tam nie było. Ale pokazywali, tam gdzie stała dziewczynka z warkoczami, oni mówią, że to ja i on się uspokajał. I ten chłopczyk nauczył się pięknie mówić po polsku. A ja mówię, postawiliśmy szopkę, a ja mówię, po co szopka, postawiliśmy baranka, mówię, po co baranki, po co to. A dziecko przyjmuje wiarę. „A ja pójde do nieba?” „Dziecko, ty nieochrzczony. Kto nieochrzczony, nie może pójść” „Tak?” „Tak, nieochrzczony”. Dziecko zachorowało ciężko. Biorą do szpitala i siostra w szpitalu jego chrzci. A on już wie po co, on rozumie. Dziecko miało cukrzycę i raka. To już Pan Bóg dał, że on miał umrzeć, a dziecko takie było dobre, że ja uważałam, że to dziecko święte. On tak przyjmował wszystko, co ja powiedziałam i on to wprowadzał w swoje życie. „Mamo, tato wróci?”, on mnie pyta. Ja mówię: „To ty się modlisz, módl się, żeby tato wrócił”. On nie uczył modlitwy, bo się boi tej mamy. A jak? Pan Bóg rozumie. Tak jak zechce. Widzi, że my w kościele klękamy, modlimy się. Co to jest, że Gieniu każdego wieczora klęka i mówi głośno „Boże, daj, żeby papa wrócił”. I pierwszy oddział wojska wkracza tu, sowieckiego, i jest ojciec. On tu przylatuje, „Tato wrócił, bo ja się modlił”. Jego zabierają. Ojciec znalazł lepsze mieszkanie, wyprowadzają się, a Gieniu już ma iść do szkoły, już miał siedem lat, kupili mu wszystko, on ciężko chory, do szpitala, robią operację, beznadzieja. Przychodzi do nas w nocy, wieczorem, późno, ojciec zapłakany. „Gieniu chce was wszystkich widzieć, przychodźcie do Gienia”. Mama, tato, my zbieramy się i idziemy do Gienia. On płacze, Gieniu ucieszył się, że myśmy przyszli i mówię: „Jakby mnie takim kamieniem przyłożyli, jak Pana Jezusa w grobie, ja bym nie wstał, bo ja nie mam siły”. „Dziecko, nie martw się. Pójdiesz do nieba, będzie tak w niebie dobrze i ładnie”. „Ale czy ja pójde do nieba? Ja nie zawsze grzeczny”. „Pójdiesz dziecino”. „A w piekle jak strasznie”. A mama mówi: „Klaudio, trzeba było ochrzcić dziecko”. „Ja ochrzczony, mnie siostra ochrzciła”. Mamę prosi, żeby została, nawet mama tam została

na noc. Ojciec mu dawał do zabawy pieniądze, grube pieniądze, bo nic nie miał innego. A on ładuje, a mama tego nie chciała brać, bo to jednak tak... Ale coś musiała wziąć, bo ten płakał. I Gienia zabierają. A ja jeszcze przyszedłam tam, ja mówiłam, tak nieraz zabawki wycinałam z papieru i tam miałam jakąś taką, wycięłam, nagięłam i to już było, to był samolot, to był [niezrozumiałe, 00:52:36] To były zwierzątka, to był samolot. A ja mówię: „Byłeś niegrzeczny, dzisiaj samolotu nie zrobisz”. Ja przyszedłam i ja mu tylko samolot robię. Samolocik, wiem mu tak, żeby wiedział, że ma ten samolocik. A on mi mówi: „Tam, gdzie nitki i igły, tam jest krzyżyk. Proszę mi dać ten krzyżyk. Ja chcę [niezrozumiałe]. Plastikowy krzyżyk, on to wiedział, ja mu to na niteczkę taką mocniejszą dałam i on to [niezrozumiałe, 00:53:02] Dziecko wierzące. I zaraz przyszli tam, i zabrali go, jeszcze raz zrobili operację. Już nie było trzeba, dziecko umiera. Dziecko umiera, ale on wierzący i ojciec mówi, on wierzący, jemu trzeba krzyżyk dać. Tośmy tam wozili ludzi znajomych. Zrobili trumienkę, a na trumience krzyżyk.

Jadwiga Zappe: Krzyżyk ojciec kazał zrobić.

Irena Zappe: Księdza poprosiłam, ksiądz pomodlił się. Dobre dziecko było. I tak, my tutaj jesteśmy, już szkoła, już idziemy do innej szkoły, jest szkoła sowiecka, a za Niemców nie ma szkoły polskiej. A ja do niej, do brata, oni starsi byli: „Uczcie mnie, żebym nie była głupia, przecież szkoły nie ma. A ja chcę się uczyć, ja nie chcę być głupia”. I tam były takie komplety, mnie tam zapisali, ja zdawałam te egzaminy. Wszystko mi bardzo ładnie poszło. Tam i łacinę zdawałam, matematykę zdawałam, dziadzio mnie uczył matematyki, ojciec uczył łaciny, brat uczył mnie chemii, fizyki, ona mnie uczyła przyrodniczych... Ja wszystko zdaję, bardzo ładnie zdaję i tam o... Wszystko dobrze, ale już się kończy wszystko. Kończy się. Tu jeszcze jest AK, w naszym domu spotykają się. Tu jest taki punkt, gdzie się spotykają, a ja tylko 16 lat skończyłam, mówię: „Ja też chcę być żołnierzem polskim” i składam przysięgę, i już jestem żołnierzem, a brat mówi: „Jesteś żołnierzem, ja cię nauczę strzelać”. Bierze mnie tam do pokoju, zamykamy się na haczyk, mama gotuje obiad, a tu już bombardowanie. Nad kuchnią pada granat czy co, wali się, sypie się, aż do jedzenia się mamie nie nasypało, tylko na balkon, a tu on pokazuje taki automat, mówi: „To na osiem strzałów. Patrz, tak zabezpieczone, nie bój się, tam nie ma naboju”. W pewnym momencie ja tak nad tą lufą, jak ona tu, huknie i leci w książki, tam półka z książkami, kilka książek przeszło i ugrzęzło w książkach. Mama dobija się, a Staszek: „Ty żyjesz, ty żyjesz?”, a ja wrzeszczę, że ja żyję. Ale że mnie to nie zabiło, ja siedziałam, nie wiem, albo ręka drgnęła i poleciało w inną stronę, albo ja się poruszyłam i Pan Bóg uratował.

Jadwiga Zappe: Tyś siedziała zaraz pod biblioteką.

Irena Zappe: Ale on był przerażony, mój brat, ludzie. I krzyczy do mnie, [niezrozumiałe, 00:55:47] No, ale już Niemcy odchodzą i teraz sowieckie są. A w domu pełno broni. Moi bracia są w AK, oni chodzili, walczyli w parku Kościuszki. Należeli tej amunicji, tego świństwa rozmaitego, takiego, które nawet ojciec nie wie, co to jest. To, a to silny, wybuchowy materiał. Ojciec mówi: „Jakiś tłuszcz, ja to dam na patelnię”. Boże, dobrze, że tego nie zrobił, bo by cały dom wyleciał i my wszyscy prosto do nieba. I on bierze maleńką walizeczkę, niesie do kolegi, ale to ciężkie, maleńkie, a oni jego śledzą. I przy bramie capnęli. I ten Kazio, do którego on szedł, przyleciał tutaj, mówi: „Staszka aresztowali”. To już mama wie. Za parę dni drugiego brata aresztowali, Jaśka, już siedzą [niezrozumiałe, 00:56:48]

Jadwiga Zappe: Zrobili rewizję w domu i to było szczęście, że oni zabrali tę całą amunicję.

Irena Zappe: A oni szukają wszędzie. Tam leży ten [niezrozumiałe, 00:56:54] Po co to, tato mówi: „Jakiś tłuszcz”. Wy wiecie co to jest, to jest silny materiał wybuchowy. Wszystko to zabierają, to był cud Boski. Szukają amunicji, zabierają całą amunicję.

Jadwiga Zappe: Granatów tyle było.

Irena Zappe: Granaty, tak, wszystko, co było, rewizję dokładną zrobili i to było dobrze. Po kilku dniach przychodzi tu człowiek, który mówi po rosyjsku. Mówi: „Ja jestem prokuratorem” czy jak mu tam było.

Jadwiga Zappe: Śledczym, śledczym.

Irena Zappe: „Śledczym jestem. Wasi synowie są głodni. Tam kuchnia jeszcze nie pracuje”.

Jadwiga Zappe: Kuchni nie ma, a już siedzą w więzieniu chłopcy.

Irena Zappe: Jeden chłopiec tam już chciał popełnić samobójstwo. „Macie coś do jedzenia?” Mama szuka. A ja widzę, troszkę mąki kartoflanej, troszkę jakiejś konfitury, nie konfitury, marmoladki i ja robię kisiel. Kisiel. Co macie, dajcie, oni głodni. Chleba nie ma, coś tam było, coś mama, nie wiem, co zrobiła, czy jakieś placki z czegoś, czy coś.

Jadwiga Zappe: W każdym razie co było, to mama dała.

Irena Zappe: On zabiera i on przychodzi na drugi dzień, znowu: „Macie coś?” Tato coś sprzedał, to już tam coś było. A ojciec tak sprzedawał, oni oglądają meble. Bo w naszym jakby tu się nie mieściły, to były dziadzia meble, to bardzo mało myśmy mogli sobie wybrać. Szafa, tato pokazuje, tu pęknięte, tu drapnięte, tu nie domknięte, tu to. Wszystko pokazał, co było niedobrego. I co to warte. Szafę porządną, drapniętą, sprzedali za byle co. To był kupiec, mój ojciec, taki. Ale coś było. Chleb się kupiło. A my sprzedajemy swoje zabawki, my chodzimy na plac sprzedawać. Wszystko. Zabawki, tam koraliki, co było.